ROZMAITOŚCI.

Dnia 17. Grudnia. № 51. Roku 1856.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

(Powiastka osłuchana)

Przez *C. C.*

(Dokończenie.)

III.

W jednym z obszerniejszych apartamentów hotelu angielskiego panna Elżbieta Skalska siedziała samotna ze swemi myślami, od dwóch godzin nadaremnie usiłując zająć się czemkolwiek. Zniechęcenie opanowało jej duszę, a piękne oczy bez celu błądziły po ścianach pokoju, nie znajdując nic, na czemby spocząć mogły. Dziwnie bo też to uczuć się daje samotność w tych pokojach hotelowych. Publiczne te mieszkania, w których codzień to kto inny zakłada sobie chwilową siedzibę, a każdy jakiś ślad po sobie zostawi — nie mają ani jednego kącika, do któregobyś mógł siatkę swoich marzeń przyczepić. Sprzęty wiecznie próżne, wiecznie otwarte, nie mieszczą w sobie żadnych twoich tajemnic. Nawet kolor ścian zdaje ci się obrzydłym — obecność osób drogich twemu sercu nie uświęciła tego przybytku, a w samotnych twoich dumaniach nie napotkasz nawet przychylnego wzroku malowanych twarzy twoich rodzinnych, który w takich razach w twojem własnem mieszkaniu zwykł spoglądać na ciebie z portretów.

Na wielkim stole, przy którym siedziała panna Elżbieta, leżał ogromny stos najrozmaitszych przedmiotów, porzuconych w nieładzie, a między niemi walała się owa czapeczka, przeznaczona niegdyś dla Karola, którą haftowała w czasie pierwszej wizyty Alfreda, nietknięta igłą od owego czasu. — Pani Skalska po obiedzie wyszła była za sprawunkami, ale Elżbieta nie chciała jej towarzyszyć, bo się spodziewała przyjaciela lat dziecinnych. Dwa tygodnie upłynęły już były od czasu jak wyjechał Karol, i Elżbieta poczęła się niepokoić, i dociekać przyczyny tak długiej jego nieobecności. — Czasami nawet mimowolnie tęskniła za nim — radaby była pogadać z nim z tą otwartością i swobodą, której żenowała się w obec jego rywala, którego nadeń przeniosła. — Nie dlatego żeby on mniej był dla niej uprzejmym i pobłażającym, ale dlatego, że Elżbieta starała się właśnie uniknąć potrzeby tej pobłażliwości z jego strony. — Alfred bowiem postanowił przedewszystkiem dokonać jej reformy, i począł ją zwolna wtajémniczać w maniery swego świata, a panna Skalska, zamiast dawnego przyjaciela, którego się spodziewała w nim znaleźć, ujrzała człowieka całkiem innego, nowego, który z przeszłością swoją żadnego prawie nie zachował związku. Po pierwszych chwilach ułudy spostrzegli oboje, że wielka próżnia leży między niemi, i że płomień, którym z razu pałali, poczyna się dymem okrywać. Miejsce dawnych ożywionych między niemi pogadanek coraz częściej zajmowało uciążliwe milczenie — trudno im było znaleźć kilka słów do wyrażenia; Alfred wiele razy usta otworzył, reflektował się prawie zawsze, że tego, co chciał powiedzieć, Elżbieta nie zrozumie, i wzdychał — ona znów, odwykłszy z nim od poufałości, bała się okazać w jego oczach śmieszną, odzywając się ze zdaniami zbyt pospolitemi, lub znudzić go mówiąc o sobie — a o nim?.. cóż mogła mówić o nim, znając go teraz tak mało? Jest pełno ogólników, na których tle mogą snuć rozmowę osoby, które świeżo poznają się ze sobą, albo dawną odnowią znajomość. Ale tutaj i do nich uciec się było niepodobieństwem. Elżbieta nie była ani artystką, ani entuzyastką — o malarstwie nie miała wyobrażenia, na muzyce nie wiele się rozumiała, a romansów nie czytała całkiem. Nie można też było bawić ją opowiadaniem o wypadkach codziennych i intrygach towarzystwa, któremu była całkiem obcą. Słowem, cały wątek rozmowy i zabawy trzeba było snuć ze siebie, do czego Alfred bynajmniej nie miał ani ochoty ani zdolności, on, który zupełnie stracił był wyobrażenie życia, a tembardziej szczęścia po za obrębem wielkiego świata — który nie poj-

mował rozkoszy życia wewnątrz siebie skupionego, ani sobie mógł wystawić nawet, jakby to można exystować, siedząc gdzieś samotnie, chociażby tę samotność nie wiem kto z nim podzielał. — Nie masz bowiem nieznośniejszej kreatury jak parafianin przeszczepiony śród miejskiego życia; — w zaparciu się wszelkich natnralnych pociągów i uczuć przechodzi on zwykle rodowitego miastowca, a kosztem wyzucia się z wszelkich swobodniejszych natchnień, nabywa tylko smutnego talentu uchwytywania we wszystkiem strony ujemnej i śmiesznej, i chłostania jej uszczypliwym dowcipem. Ale dowcip ten jest to broń niebezpieczna, bo obosieczna, która czasem samego paladyna rani. Tak też stało się i z Alfredem. Nauczony wyśmiewać drugich, nie mógł niepostrzedz śmieszności w swoim własnym stosunku z Elżbietą; postanowił więc usunąć ją bezzwłocznie, czego mniemał że inaczej nie dopnie, tylko kształcąc i przerabiając Elżbietę zupełnie wedle swego gustu i woli — tworząc z niej prawie całkiem nową kobietę, w którejby się mógł dopiero bez obawy skompromitowania się, jak Pigmalion we własnem dziele rozkochać.

Z razu Elżbieta uległa chętnie tym jego fantazyom, spodziewając się, że mu się tem przypodoba, ale widząc że wszelkie jej usiłowania są daremne, ostygła w swojej powolności. Gotowa była wiele poświęcić dla niego, ale oburzała się na myśl całkowitego poświęcenia się, któreby nawet żadnego nie zyskało uznania. Gdy więc Alfred chociaż w sposób łagodny powiadał jej, że tak a tak myśleć nie należy, że tego a tego mówić nie wypada, oburzała się wewnętrznie na te ciągłe poprawki, które coraz bardziej stawały się dla niej nieznośnemi i antypatycznemi. Wtedy poczęła się zastanawiać i porównywać, a rezultat tych porównań zawsze wypadał na korzyść Karola, chociaż jego imię nigdy na jej ustach nie postało. — Wiedziała wprawdzie że Alfred znajdował ją piękną, ale wiedziała też, że piękność jej nie czyniła go tyle szczęśliwym, ile dumnym — że się chełpił nią publicznie. Ona wolałaby była, żeby był raczej o nią zazdrosny. Jasno pojmując stan rzeczy, od czasu jak zasłona pierwszych złudzeń z oczu jej spadła, Elżbieta zrozumiała doskonale, że świat był jedynym motorem wszystkich czynności Alfreda. I jakiż to świat jeszcze! Świat, składający się cały z nędznych koteryi, wśród których każde szlachetniejsze uczucie zostaje wygwizdane, gdzie nawet ludzie rzeczywistej wartości nie znajdują miejsca, jeżeli milczeć nie umieją — gdzie wreszcie wszystko exploatuje na swoją korzyść większość, złożona po większej części z serc zimnych i głów pustych. Nie dziw zatem, że wychowanek takiego świata, nie mógł swojemi doktrynami trafić do przekonania dziewczyny naiwnej, wychowanej na łonie natury. To też oboje umieli tak dobrze ocenić przestrzeń, która ich rozdzielała, że nietylko nie wymówiło nigdy żadne z nich tego wyrazu: małżeństwo, ale nawet wystrzegali się wszelkiej myśli, którąby z niem jakkolwiek związek mieć mogła. Nawet o miłości niechętnie wspominali, i żyjąc ze sobą w pewnem oddaleniu, zdawali się oboje oczekiwać jakiegoś niespodzianego wypadku, któryby ich z tego fałszywego położenia wydobył.

Temu otrętwieniu, w jakie skutkiem tak dziwnego stosunku popadli, towarzyszyła nieodstępnie nuda bez granic. Do wszystkiego potracili ochotę, i Alfred zaniedbując Elżbietę, zaniedbywał i całe towarzystwo, w którem dawniej pożądanym był gościem. Łatwo więc pojąć smutek i zniechęcenie młodej dziewczyny, siedzącej samotnie w angielskim hotelu i oczekującej przybycia Alfreda, którego nie pragnęła wcale. — Oprócz tego jedna jeszcze okoliczność napełniała jej serce niepokojem i tajemną trwogą. Jednego wieczora, kiedy wracała do domu, zdawało jej się, że poznała Karola przechadzającego się zwolna trochę opodal od hotelu; a gdy się w kilka dni zjawisko to powtórzyło, pewna już była, że Karol, o którym wszyscy myśleli, że jest w drodze, nie wydalał się wcale z Warszawy.

Jakoż tak było rzeczywiście. Biedny chłopiec nie miał dosyć siły, żeby wykonać pierwotnie powzięty zamiar. Najął więc tylko małe na ustroniu mieszkanie, które jedynie wieczorami opuszczając, szedł błąkać się około mieszkania Elżbiety, a nawet znalazł sposób, za pomocą którego wiedział prawie wszystko, co się w niem działo.

Po długiem zamyśleniu panna **Skalska** postanowiła wreszcie siąść do roboty, i po chwili wahania, wzięła nietkniętą od tak dawna czapeczkę, i westchnęła głęboko. Alić zaledwie igłę nawlekła, weszła pokojowa, przynosząc dwa listy z poczty — a spostrzegłszy czapeczkę w ręku Elżbiety, zawołała z udanem zadziwieniem:

— O, mój Boże! a cóż ja to widzę!.. a ja myślałam, że panienka już raz na zawsze dała pokój tej robocie!..

Elżbieta nic nie odpowiedziała, tylko skwapliwie pochwyciła listy. Jeden był od jej przyjaciołki Maryi P* — na drugim poznała rękę Karola; ale ten adresowany był do jej matki. Na widok tego pisma doznała takiego wzruszenia, i tak drzeć poczęła, że nie była wstanie odpieczętować listu swej przyjaciołki. Czując ile wykroczyła przeciwko Karolowi, była prawie pewną, że list ten zawierał w sobie stanowcze zerwanie projektowanego małżeństwa. Ztąd lękała się wyrzutów matki, i serce jej się ścisnęło na myśl, w jaką przepaść nieszczęścia lekkomyślność jej pogrążyła ją — a może i Karola....

Łaknąc pociechy, otworzyła pismo swej przyjaciołki. Ale przyjaciele zawodzą nas najczęściej wtenczas, kiedy najbardziej potrzebujemy przyjaźni. Kiedy żądamy ich współczucia, oni przybierają charakter surowych sędziów, i rozkrwawiają nasze rany, zamiast ich boleść ukoić. Historya Joba wiecznie się powtarza na świecie. Przyjaciołka Elżbiety nigdy w życiu nie była w tak drażliwem jak ona położeniu, traktowała więc jej błędy z wysokości trójnoga, na którym posadziła swój rozum, wolny od wszelkiej namiętności. List ów zatem, miasto spodziewanej pociechy, przywiódł nieszczęśliwą prawie do rozpaczy, gdy wtem nadeszła pani Skalska. Na szczęście pani Skalska spotkała się była właśnie z jedną ze swoich przyjaciołek i sąsiadek, która jej dumę i powagę macierzyńską w najdotkliwszy zadrasnęła sposób. Jejmość ta, posiadając pełnoletniego siostrzeńca na wydaniu, przed rokiem zwróciła była oko swoje na Elżbietę, a gdy pani Skalska propozycye jej w tym względzie odrzuciła, postanowiła zemścić się, i czekała tylko dogodnej sposobności. Teraz właśnie zdarzała się taka sposobność. Przyjaciołka tedy pani Skalskiej, obaczywszy ją z daleka, przybiegła do niej skwapliwie, ażeby z pobudek czystej przyjaźni ostrzedz ją, żeby baczniej czuwała nad córką, gdyż się panienka kompromituje wobec towarzystw stolicy. Dodała wprawdzie, że dotąd nie chodzi jak tylko o małe uchybienia, ale że zawsze lepiej, żeby ludzie o tem nie gadali, i t. p. — Pani Skalska na te rady odpowiedziała szumnym panegirykiem Elżbiety, a przyjaciołka jej odeszła uszczęśliwiona niby tem, iż się przekonała, iż ją mylnie zainformowano w tym względzie. Mimo tego pani Skalska wróciła do domu wielce rozjątrzona. Deszcz, który ją złapał na drodze, pogorszył jeszcze jej humor, a gdy obaczyła że jej nowy jedwabny zielony kapelusz przemokł prawie zupełnie, przebrała miarka jej żółci, i w strasznej burzy wylała się na Elżbietę. Wprawdzie mama dobrodziejka nie wiedziała nawet za co łająć córkę — ale to właśnie irrytowało ją jeszcze bardziej, a wreszcie zdało jej sie, że surowością niewiadomość swoję zakryje. — Biedna dziewczyna nie pojmowała całkiem zkąd na nią spadła ta burza — ale poczuwając się wewnetrznie do winy, nie śmiała żądać wytłumaczenia. Przytuliwszy się więc do kąta płakała pocichu, a przerażenie jej było tak wielkie, że nawet zapomniała oddać matce listu od Karola.

A przecież list ten byłby jej przyniosł nieco uspokojenia: Karol pisał w nim o bliskim swoim powrocie, w postscriptum tylko dodawał, że może być, iż mu wypadnie niebawem wyjechać znowu i to na dłużej niż tą razą. W ten sposób chciał on sobie ułatwić odwrót, w razie gdyby sprawa jego serca i nadal niepomyślny obrót przybrała.

Tymczasem, dał się słyszeć dzwonek w przedpokoju, i służąca przyszła oznajmić panią Linowskę, bratową pani Cecylii. Panna Elżbieta przeczuwała, że wizyta ta, coś niedobrego dla niej przyniesie, a nie czując się na siłach do wytrzymania nowego ciosu, chciała odejść do swego pokoju. Ale pani Linowska zatrzymała ją, powiadając wprost, że właśnie z nią ma coś do pomówienia, i biedna dziewczyna upadła napowrót w krzesło. Pani Linowska była to jedna z tych kobiet, którym reputacya dobroci i poczciwości nieco rubasznej, pozwala mówić wszystko co im ślina na język przyniesie, bez obawy obrażenia tem kogokolwiek. Dumna ona była ze swojej otwartości, a pobłażanie i pochwały które jej powszechnie oddawano, sprawiły, iż częstokroć mniemaną swoją miłość prawdy posuwała do impertynencyi. — I tą razą też, zaślepiona nierozsądnem przywiązaniem ku swojej bratowej, przedsięwzięła krok wcale śmieszny.

— Moja mała — rzekła do Elżbiety, pozwolisz, że jako stara, doświadczona kobieta i twoja krewna, pomówię z tobą parę słów na osobności, jak matka, albo spowiednik...

— Słucham pani; ale ponieważ ja nie mam nic skrytego przed mamą, możemy przeto mówić w jej obecności.

Biedna Elżbieta, mimo złego humoru pani Skalskiej, szukała w niej jednak naturalnej podpory i obrony. Pani Linowska tymczasem przystąpiła do rzeczy, i długo kołując z daleka, skończyła wreszcie na ostrzeżeniu, iż

rozchodzi się pogłoska o zerwaniu jej małżeństwa z panem Karolem, i że on w skutek jej lekkomyślnych postępków, jakkolwiek mocno na tem cierpiał, uznał jednak za rzecz stosowną wyjechać.

Pani Skalska osłupiała na tę wiadomość, i zrazu chciała jej zadać fałsz, twierdząc, iż pan Karol wyjechał za interesem; ale odpowiedziano jej, że to była tylke pozorna przyczyna, pretext do wyjazdu, i że on nie wróci więcej.

— Czy pan Karol zwierzył się z tem komu? — zapytała z niedowierzeniem Elżbieta.

— Niewiem, ale wszyscy o tem gadają.

— Coż to wszystko ma znaczyć!? — zawołała pani Skalska, nie mogąc wyjść z podziwienia.

— Ja bo wtem nie widzę nic dziwnego, odparła pani Linowska, i od owego wieczoru u nas przewidziałam od razu wszystkie skutki lekkomyślności p. Elżbiety.

— Ależ na miłość boską, coż się stało takiego!?

— Jakto! więc ty o niczem nie wiesz!... Ha! gdybym była mogła się domyśleć, że tak jesteś zaślepioną, byłabym cię wcześniej ostrzegła — ale....

Już to po drugi raz w godzinie niespełna, obwiniono panią Skalskę o zaślepienie. Byłato dla niej nader dotkliwa obraza, i gniew jej dopiero co poskramiający się zwolna, znową wybuchnął gwałtownością, a biedna Elżbieta musiała znów wytrzymać nowy potok słów obelżywych i poniżających. Przykre jej położenie robroiło nawet nieco panią Linowskę.

— No, ja cię znów nie sądzę tak surowo jak matka, moja kochanko — tembardziej że twoje niedorzeczności, tobie tylko samej zaszkodziły. Zresztą, wierzę ci żeś to wszystko robiła bez żadnej złej inteneyi, ot tak po prostu przez głupstwo, chociaż to głupstwo narobiło niepokoju aż w naszym domu.

Przybita wstydem i boleścią Elżbieta, zakryła twarz chustką, i nic nie odpowiedziała.

— A! nieszczęście moje z tą dziewczyną! wołała pani Skalska. — Patrzaj coś mi narobiła szalona! Teraz ja tylko za ciebie wstyd ponosić muszę!..

— Ależ mamo, na miłość boską!...

Nie dała jej dokończyć pani Linowska:

— Zastanów się tylko sama i osądź... Cecylia jak siostrę cię pokochała — przycisnęła cię do serca — wiedziałaś o jej stosunku z p. Alfredem — powinnaś była zresztą przecie zrozumieć, że on się w tobie zakochać nie może....

Elżbieta milczała łkając, pani Linowska mówiła dalej:

— Dzięki Bogu złe nie zaszło tak daleko jak może myślisz. Dziś rano widziałam się z panem Alfredem, i wzięłam go na spowiedź. Wyznał mi wszystko, i w końcu oświadczył iż żałuje, że ci się dał na chwilę obałamucić...

— Pani nie masz litości nademną! — jęknęła biedna dziewczyna, nieposiadając się w rozpaczy.

— Jestem tylko szczerą, moje dziecko, i nazywam rzeczy po imieniu. Teraz nie pozostaje ci nic więcej, tylko pogodzić się i przeprosić pana Karola, czy go kochasz, czy nie. Tutaj nie ma czasu na romanse.

— Ah! pani! Gdybym go nie kochała, możebym uczyniła jak mi pani radzisz... ale....

Na te słowa wybuchnęła znów pani Skalska — poczęła wyrzucać córce, że sama nie wie czego chce — że ma pełno kaprysów, że nie dba o swoją reputacyę, i że to zerwanie rozgłoszonego już małżeństwa, okropnego narobi skandalu. — W wyrzutach swoich nie oszczędzała ona Elżbiety, która potępiona bez sądu, opuszczona od matki, Alfreda i Karola, zalewając się łzami, upadła na kolana, i zawołała z głębi strapionego serca:

— Boże! zlituj się nademną! Wszyscy mię odstąpili — i gdzież znajdę wsparcie i obronę!....

— We mnie! odezwał się nagle silny głos Karola, który właśnie na to ukazał się we drzwiach z Alfredem.

Na jego widok, na dźwięk jego głosu, Elżbieta zerwała się, i pobiegła z krzykiem ku niemu — ale wpół drogi zatrzymała się; padła znów na krzesło, i odwracając głowę, rzekła słabym głosem;

— Nie, nie, panie Karolu! między nami wszystko się już skończyło — ja już niczem nie jestem dla pana!...

— Jakto?.. wcależeś pani już zwątpiła o mnie?:. o mnie swoim narzeczonym — swoim mężu?...

— O! dla mnie już nie ma tej przyszłości... Gdybyś pan wiedział....

— Wiem wszystko — i oto widzisz mię pani u nóg swoich. Nie odpychaj mnie, bobym myślał że mię pani nienawidzisz...

— Ja pana nienawidzieć?!...

— A, już co tego, to wcale nie rozumiem, przerwała pani Linowska. Dzisiejsze panny szczególne mają fantazye: dopiero co tu przed nami wyznała, że pana kocha — a teraz....

Moja kochana nie bądź też dzieckiem; poświęcenie się pana Karola zasługuje na nagrodę, a ty powinnaś się uważać za nadto szczęśliwą, że dotąd zachował dla ciebie tyle stałości i szacunku.

— Widzisz pan, zawołała Elżbieta z bolesnem oburzeniem, widzisz pan, panie Karolu, na co byłbyś przy mnie wystawiony.

— Ależ, jestem pewny, wtrącił Alfred, który w całej tej scenie nie bardzo zabawną odgrywał rolę — że pani Linowska nie powiedziała tych słów w takiem znaczeniu, jakie pani zdajesz się do nich przywiązywać.

— Czy myślisz, odparł Karol, że potrzebuję czyjegokolwiek w tej mierze zapewnienia? — Wiedz o tem mój panie, że honor panny Elżbiety do mnie należy, i że jeżeli się od niej dowiem, że ktokolwiek ośmielił się choć jednem słowem na niego nastawać, to potrafię choćby z wnętrzności jego wydobyć odwołanie tego kłamliwego słowa.

A wyrazom tym towarzyszyło takie spojrzenie, iż nikt nie mógł wątpić, że co powiedział, dokona. — Przestraszona pani Skalska nachyliła się do córki, i szepnęła jej do ucha.

— Bój się Boga! co robisz? Czyż chcesz żeby aż krew niedorzeczności twoje zmywać miała?

— Karolu, odezwała się wtedy Elżbieta, jesteś najszlachetniejszym z ludzi.

Karol wyciągnął ku niej ręce, a ona padła w jego objęcia. Pan Alfred, któremu dopiero teraz spadł ciężki kamień z serca, osądził to przejście jako nadto gwałtowne, i nie mógł się wstrzymać od zrobienia w duchu uwagi, że przyzwoitość nakazywała trochę więcej miarkować uczucie. Innego jednak zupełnie zdania był Karol.

Tymczasem pani Skalska z panią Linowską, żwawą jakąś toczyły rozmowę, a Elżbieta po chwili milczenia rzekła:

— Karolu! zanim się zwiążesz stanowczem słowem, chcę żebyś wiedział wszystko — a ja chętnie poddam się twemu wyrokowi.

I ważąc się na krok, zbyt może śmiały, ale który w takiem położeniu rzeczy, mógł jedynie tę drażliwą kwestyą ostatecznie rozstrzygnąć, rzekła wskazując na Alfreda:

— Oto przyjaciel moich lat dziecinnych. Od niego odbierzesz niektóre przedmioty, które otrzymał odemnie, zanim poznałam ciebie. Przejrzysz je, i oddasz mi je potem. Aż do tej zaś chwili jesteś zupełnie wolnym.

Karol pomyślał sobie, że to była mowa o owych kwiatach i włosach, i odrzekł bez wahania:

— Rozumiem panią — ale mimo tego nie myślę z udzielonej mi wolności korzystać.

— Jednakże kiedyś, mógłbyś myśleć...

— Myślę, i zawsze będę myślał, że mię kochasz — odparł Karol ze szczerością, w której Alfred za nadto dumy upatrzył. A przecież ufność ta uspokoiła do reszty drażliwe sumienie Elżbiety. Ale była tam inna osoba, której sumienie dopominało się także jakiejś expijacyi. Tą osobą był Alfred. Światełko prawdy zabłysło nagle w jego duszy, przez świat sponiewieranej, i dawny człowiek odżył w nim na chwilę.

— Pani, odezwał się z cicha, chociaż to wyznanie dużo mię kosztuje, jednak poczytuję sobie za obowiązek oświadczyć jej, iż te dary które z jej łaski otrzymałem, a których posiadaniem dotąd śmiałem się przed nią przechwalać, dawno już potraciłem; tylko przez fałszywy wstyd, nie śmiałem się przyznać do tego.

Elżbieta po tych słowach uczuła się upokorzoną, że mogła być choć na chwilę igraszką tak bezczelnego kłamstwa, a Karol spojrzał na Alfreda wzrokiem pełnym pogardy. Ale ten, dokonawszy tak heroicznego ze swej strony czynu w obec kobiety, nie chciał się okazać nikczemnym w oczach mężczyzny, i żeby naprawić skutek wrażenia, jakie sprawiło jego wyznanie, szepnął do ucha Karolowi:

— Spalę je jeszcze dzisiaj. Ani słowa więcej o tem; chcę jej zostawić broń pogardy przeciwko sobie. Dopełniłem mojej powinności — chciałeś odemnie zadosyć uczynienia — masz je.

Po odjeździe Elżbiety Alfred wrócił na dawne miejsce obok pani Cecylii. Jednak spostrzeżono odtąd wielką zmianę w jego humorze. Nudziło go wszystko, i wyrzucał pani Kameckiej, że nie była dla niego taką jak dawniej. Widziano go często ponurym, milczącym — na zapytania odpowiadał wtedy zwykle tylko gorzkim uśmiechem. Coraz więcej począł szukać samotności, a stosunek jego z panią Kamecką z czasem zaczął mu ciężyć coraz bardziej. Poraz pierwszy czczość wielkiego świata i jego formułek, stanęła w całej nagości przed jego oczyma. Uśmiechy tego świata zdały mu się tylko szyderskiem przedrzeźnianiem, a ci którzy wśród niego szukali zwodniczego szczęścia, zdali mu się czysto głupcami. Nareszcie przystąpiło do

niego dziwactwo, w którem mu się wydawało, że się wszystko zmieniło w koło niego.

Elżbieta nie potrafiła wprawdzie całkiem przerobić tego umysłu, dla którego natura straciła już była swe wdzięki, ale w przelocie rzuciła nań promyczek prawdy, który oświecił oczy Alfreda. Zagłębiając się we wspomnieniach swoich lat dziecinnych, mimowolnie wszedł on w samego siebie, i w przeszłości swojej, niby w zaczarowanem zwierciedle, obaczył nędzę swoją obecną. Elżbieta umarła już wprawdzie w jego sercu, ale konając pociągnęła za sobą i Cecylię. Alfred tracił jedną ułudę po drugiej, rozczarowywał się codzień to bardziej, i nareszcie począł zapytywać sam siebie, jak mógł choć na chwilę przywiązać się do tej kobiety. Elżbieta równie jak Cecylia były już nie dla niego — on też czując, że nie może już być sprawcą niczyjego szczęścia, postanowił żyć samotnie, i nie żenić się nigdy.

Tak więc serce Alfreda obumarło tam, gdzie po raz pierwszy bić zaczęło: obok Elżbiety — podobne do owej sarny, która ruszona przez psy z legowiska, obiegłszy ogromne koło śród kniei, wraca, żeby umrzeć obok swego gniazda. — Ona to rozwinęła najprzód w tej duszy kwiat miłości, ogrzewając ją pierwszym ciepła promieniem, — ona też poźniej, uderzając w nią tym samym promieniem, tylko silniejszym, goretszym, spaliła ją i zniweczyła. Tak pali słońce w południowej godzinie te same rośliny, którym zrana kwitnąć kazało.

Niestety! takiemu to losowi ulegają zwykle na ziemi uczucia i kwiaty!

GRANICE W PAŃSTWACH PRZYRODY.

Wypadałoby żałować że do słowa „zwierzę“ przywiązujemy zwyczajnie tak niskie pojęcie. Z szacunkiem mówimy o roślinach i drogich kamieniach, a przecież ani królewska palma z całą swoją wspaniałą pięknością, ani lśnący dyament z swoim blaskiem przecudnym nie sprostają nigdy najnędzniejszemu robaczkowi, który tarza się w pyle. Daleko lepiej pojmowali Rzymianie właściwe znaczenie wyrazu *animalis* (żywotny). Wyobrażał on u nich najwyższy szczebel stworzenia.

Zbadać i pojąć charakter zwierząt, było trudnem zadaniem uczonych od najdawniejszych czasów. Starożytni mędrcowie tworzyli różne w tej mierze teorye, a i nowocześni filozofowie stawili system po systemie. Starożytne narody uważali zwierzęta za bogów, a i dziś jeszcze łagodni mieszkańcy wschodnich Indyj nie śmią odbierać życia istotom oddechającym, gdyż sami bogowie przybierają często postacie zwierzęce, a prócz tego uczą ich święte księgi, że człowiek, który umierając trzyma się krowiego ogona, przechodzi duszą natychmiast w ciało krowy, a ztamtąd dostaje się wprost do nieba. Lekarz hiszkański *Pereira* zabrnął głęboko w system przeciwny. Onto nauczał pierwszy, że zwierzęta nie mogą ani czuć ani myśleć, a pozbawione zmysłów i pożądliwości, są raczej machinami, poruszającemi się na wzór sprężyn w zegarze. Nieco poźniej wielki *Kartezyusz* przyznał duszę tylko człowiekowi jedynie, poczytując również zwierzęta za machiny. Odmówił on nawet zwierzętom uczucia głodu i pragnienia, niemniej też wszelkiej woli i żądzy. „Co prosty automat mógł wiedzieć albo czuć? Radość i boleść u zwierząt“ — mówił on — „jest tylko pozorem, ich ruchy są tylko skutkiem jakiegoś instynktu nieświadomego. Wycie psa jest jedno i tosamo, co skrzypienie kół w machinie.“

Nawet w czasach dzisiejszych powstawały rozliczne powątpiewania, i niejedną stoczono walkę, chcąc wytknąć ściśle granice pomiędzy wszystkiemi pojedyńczemi działami przyrody. Łatwo powiedzieć: krzemień jest kamieniem, dąb rośliną, a lew zwierzęciem, wszakże nie zawsze granice są tak wybitne, różnice tak jawne. Jakże często minerały zbliżają się ułudnem podobieństwem do dzieł ludzkiej ręki, do tworów wykwintnej sztuki! Spozierając na piękny krzyształ, nie mielibyśmy ochoty poczytać go w pierwszej chwili za jakieś misterne dzieło rzeźbiarza? Nie nazywanoż przez całe stólecia tworami bajecznych Tytanów owe tuowdzie napotykane szeregi niebotycznych kolumn bazaltowych, które stojąc w licznych grupach jak armie walecznych wojowników, lśnią zdala jakby polerowane, a w swoich kształtach sześciokątnych tak regularne przedstawiają zarysy, izbyś je poczytał niejako za świadectwa geometrycznych wiadomości matki przyrody? Wiele minerałów okazuje nadzwyczajne podobieństwo do roślin. Jedne przypominają wielce kore drzew, drugie skórę, a przedniejszy *amianth korsykański* daje się z trudnością tylko odróżnić od jedwabnego włoska *tyryjskicj asklepiady.*

Tak trudno jest rozgraniczyć dokładnie obadwa te niższe działy przyrody, lubo tak wielka pomiędzy niemi zachodzi różnica jak między bogaczem a owym nędzarzem, co nie-

gdyś umarł z głodu u jego progu, dzisiaj zaś rozkoszuje na łonie Abrahama. Minerały istnieją, przybierają kształty i rozmiary, lecz mimo to nie żyją. Ztąd też może przenikliwy duch człowieczy odróżnić je zawsze od roślin; nie tak łatwo udaje mu się odgraniczenie roślin od zwierząt. Sama nawet powierzchowność nie przedstawia dość wydatnych znamion, aby rozróżnić jedne od drugich. Wszakci przez całe stólecia uchodziły zwierzęta polypy za rośliny, a grzyby wodne poczytują dziś jeszcze za jedno lub za drugie. Niektóre robaczki wyglądają jak kiełka roślinne, a takzwane zwierzątko *mantis religiosa* podobne jest do złudzenia liściu zwiędłemu.

Przyjęto za stałe prawidło, iż roślina nie może zmieniać swojego miejsca; bo tylko zwierzęta mogą poruszać się dowolnie. Wszakże i tu zachodzą wyjątki, a rośliny poruszają się nie tylko mechanicznie jak *mimosy*, lecz także i samowolnie, bez wszelkich wpływów zewnętrznych. Zwyczajna *soczewica wodna* podnosi się podczas kwitnięcia aż po nad powierzchnią wody, odkwitłszy zaś, spuszcza się napowrot na dawne miejsce. *Powoj* wygina swoje smukłe gałązki ku wapnu pożywnemu, takzwany kwiat *grenadylla* szle korzonki swoje ku wodzie dalekiej, a nasza kartofla prozaiczna wyciąga w piwnicy chorobliwe kiełka na całe stopy ku okienku do światła.

Niektóre dopiero w najnowszych czasach spostrzeżone *konferwy* poruszają się jak wahadła bezustannie to w tę, to w ową stronę. Szersze liście bengalskiej *esparsetty (hedysarum gyrans)* opasują się wzajemnie, a węższe zwijają się w trąbki. *Berberyka* i tysiąc innych podobnych roślin poruszają dowolnie niektóremi cząstkami kwiatu. Stempel *kollinsonii* dotyka w krótkim czasie kwitnięcia kolejno każdej osobnej nitki pyłkowej.

Dowiedzioną jest również rzeczą, że rośliny używają snu. Wiemy wszyscy, że każda roślina, od nikłej trawki polnej aż do olbrzymiego dębu, zasypia na czas zimy. Niektóre rośliny zasypiają tylko w pewnych porach, inne wreście czuwają w nocy, a śpią we dnie jak np. *nocny fijołek*. Niepodobieństwem jest także odmówić roślinom ciepła wewnętrznego. Przekonujemy się, że wiele roślin nabiera z pewnym wiekiem jakiejś febrycznej gorącości wewnętrznej, która stopniowo wnet się wzmaga, wnet upada, gdy tymczasem niektóre najniższe klasy zwierząt nie mają żadnego ciepła własnego, i przejmują się tylko temperaturą, wśród której żyją.

Zaniechano już także poczytywać czucie i instynkt za własności jedynie zwierzęcego działu przyrody. Polyp, tłuczony cały dzień w moździerzu, odżywa w wodzie napowrot. I jak tu można mówić o czuciu? Nieczułość ostrygi weszła w przysłowie. Mała, na półtora cala długa gadzina, *naida*, może być na dwadzieścia sześć kawałków posiekana, a z każdego osobnego kawałka uformuje się nowy gad z odrosłą głową i odrosłym ogonem. Każda prawie roślina objawiłaby więcej czucia, i nie przeżyłaby podobnego ćwiertowania. A jeśli instynkt nie jest niczem innem, jak tylko skłonnością wrodzoną, objawiającą się w pewnych czynnościach, tedy i same nawet minerały nie są niejako bez instynktu. Przybierają one stale i uporczywie pewne równe i regularne kształty, odpowiadające ich naturze. Daleko wyraźniej objawia się instynkt u roślin. Włóżmy w jakikolwiek sposób ziarnko w ziemię, zawsze korzonek pójdzie na dół, a kiełko wychyli się ku światłu.

Ztąd też utwierdza się z każdym dniem przekonanie, że i zwierzęta posiadają życie wewnętrzne. Dawniejsi uczeni przypisywali im duszę, podobną we wszystkiem do duszy człowieka. Wszakże byłoto oczywistym błędem. Nie mamy mikroskopów, aby ujrzeć duszę naocznie, a najśmielsi fizyologowie nie domacali się jeszcze drzwiczek do jej tajników. Gdyby człowiek stał rzeczywiście na najwyższym szczeblu stworzenia, a świat zwierzęcy służyłby mu tylko za stopień do niego, tedy musiałyby zwierzęta bardzo niedostateczną posiadać organizacyę; co być nie może, albowiem wszystko co wyjdzie z rąk Stwórcy, jest samo w sobie doskonałem. Ztąd też nie może człowiek przedstawiać tylko jakiegoś wyższego stopnia zwierzęcości — jest on owszem wcale różną istotą.

Człowiek wyobraża według słów wielkiego niemieckiego poety i naturalisty ów świat (makrokosmos), który łączy w sobie wszystkie cielesne i duchowe żywioły z naddatkiem pewnych własności poszczególnych.

Różnica ta między człowiekiem a zwierzęciem przebija się już w sposobie, jakim wszechmocność Boża dokonała stworzenia. Zwierzęta powstały za pomocą pewnych czynników pośredniczących, albowiem powiedział Pan Bóg: „Niech utworzy się woda z ruszającemi się i żyjącemi zwierzętami i ptactwem, które będzie latało nad ziemią pod sklepieniami niebios“, a w innem miejscu: „Niech wyda ziemia żyjące zwierzęta, każde według swojego rodzaju: bydło, robactwo i zwierzęta

ziemne.“ Przystępując zaś do stworzenia człowieka, rzekł Bóg: Stworzymy człowieka, „istotę któraby mnie podobną była.“ Tak więc Bóg stworzył sam człowieka, nie polecając dokonania tego dzieła ziemi lub wodzie.

Połów pereł. W zatoce panamskiej pomiędzy wyspą *del Rey* a wyspą *Taboga* leży grupa czterdziestu trzech wysepek skalistych. U stóp niektórych znajdują się zasobne pokłady muszli perłowych, które dla chilijskich i panamskich bogaczów bywają wśród niesłychanych trudów wydobywane przez umyślnie do podobnego połowu przysposobianych niewolników murzyńskich. Pod przewodnictwem nadzorcy wsiada ich zwyczajnie 10, 12 albo 20 do jednej łodzi, i tak długo krążą po brzegach, aż w głębokości dziesięciu do piętnastu sążni odkryją pokład pożądany. Wtedy każdy murzyn opasuje się liną przymocowaną jednym końcem do łodzi, i spuszcza się na dno morskie z ciężkim do nóg przywiązanym kamieniem. Stanąwszy u kresu swojej niebezpiecznej podróży, odwiązuje swój kamień, odrywa z wielkim mozołem przyczepione do skalisk muszle, i niosąc z nich jedną w gębie, jedną pod każdym ramieniem, a jedną pomiędzy kolanami, wypływa znowuż na wierzch. Złożywszy tam swój połów do worka w łodzi, wyciąga pozostawiony na dnie morza, a za pomocą długiego powrozu do łodzi przymocowany kamień, i opasawszy się po krótkiem wytchnieniu na nowo sznurem, spuszcza się po raz drugi i tylokrotnie w morze, aż dopóki albo zupełnie sił nie utraci, albo nie dostawi należytej ilości muszli. Wszystkie nad tę z góry oznaczoną należytość wydobyte muszle bywają jego własnością, choćby były najpiękniejsze ze wszytkich. Bardzo rzadko jednakże może biedny nurek korzystać z tego przywileju, gdyż oprócz nadzwyczajnej trudności odrywania muszel od skał musi jeszcze oganiać się od różnych potworów morskich, mianowicie od żarłocznych *montas* i *kuwetas* z rodzaju rochów olbrzymich, które czepiając się nóg Murzynów nieszczęśliwych nie dają im wypłynąć na wierzch, i wysysają krew z ciał nieżywych. Nie pomaga przeciw nim mała dzida, którą biorą z sobą zwyczajnie na dno morskie, Przy tegorocznym połowie czerwcowym zginęło w ten sposób dwudziestu siedmiu nurków. Musiano nawet zaprzestać dalszych łowów, bo żaden z Murzynów nie chciał już dobrowolnie iść na dno morza.

„**Foremny żarcik** niegdyś dwaj Włoszy trzeciemu wyrządzili“ — opowiada dawny pamiętnik polski— „co się snać tak stało. Trzej towarzysze w drodze idąc, i będąc pospołu na noc w jednej gospodzie, po wieczerzy jako to więc bywa zwłaszcza na długiej nocy, jęli się wszyscy grać: i nie długo grając, wnet jeden przegrał tak srodze, iż mu i pieniądz w mieszku nie został, i pocznie łająć, pocznie ojca i matkę przeklinać, nakoniec co raz to i gorzej. Owa wymyślając niezwyczajne klątwy i złorzeczenia, jako na to są Włoszy mistrzowie, położył się tak spać. A ci dwaj nie długo też z sobą grając, gdy obaczyli, iż ten już był dobrze zasnął, wzięli przedsię uczynić ten żart: pogasili świece, zagrzebli w kominie ogień, okna utkali, i jęli w rzeczy jakoby dalej grając, wielkim głosem mówić z sobą, aż się i wadzić, przyganiając jeden drugiemu: otoś podemknął, a ten zasię: a tyś zakazał na trzy tuzy. Zgoła taki trzask uczynili, iż się ów ocknąć musiał, i słysząc że ci dwaj przecie grają, i mówią z sobą, jakoby bardzo dobrze karty widzieli, otworzy troszkę oczu, a gdy żadnego światła nie ujrzy, rzecze: A kiegoż diabła jeszcze czynicie! Owa całą noc to wołanie nie ustaje! A to wyrzekłszy, zasię się dla spania uspokoił. Ci dwaj na takie słowa nie dali mu żadnej odpowiedzi, ale się przedsię swarzyli o karty, jako w najczystszej prawdzie, tak że gdy to chwilkę trwało, ocuci się jeszcze lepiej on dobry towarzysz, a widząc że nie mają ani świecy, ani światła żadnego, a przecie gra i swar idzie swą drogą, pocznie się dziwować, i mówi: A jakoż wżdy u diabła omaćmie karty widzieć możecie? Odpowiedział jeden z nich: A zaś ślepy, przecież dwie świece przed nami! Wieceś ty podobno z pieniądzmi zaraz i wzrok utracił. A on na to podniesie się na łoczku, i patrzy, oczy wytrzeszczywszy: a gdy nic ujrzeć nie może, pocznie mu być niemiło, i rzecze: Albom ci ja pijan, albo ślepy, abo wy łżecie. A ci dwaj zatem wstali od stołu, mówiąc: I szydzić to z nas ten dobry pan, A coż kiedyby był wygrał, dopierocby nas był nosił. — Więc gdy on zasię powtórzył swoje, mówiąc: To co mówię, prawda jest, iż obudwóch was kęs jeden nie widzę. Zatem ci poczną się w rzeczy dziwować, i rzecze z nich jeden: I! daj go diabłu, wierć podobno nie żartuje; podaj sam tej świecy, a snadź mu się nieborakowi co w oczy stało. Dopiero on mając za to pewnie, że olsnął, imie płakać, imie narzekać, mowiąc: niestetyż mnie, jużciem olsnął, o Najświętsza Panno! zmiłuj się nade mną, a odpuść żem tak złorzeczył. A ci dwaj u łoża przy nim stojąc, poczną go w rzeczy cieszyć, mówiąc: I nie możeć to bydź, abyś wżdy nie miał co widzieć, tak ci się to podobno zamieszało w głowie, i mniemasz abyś nie widział. — A biadaż mnie — odpowiedział im na to. — Nie masz ci tu żadnego zamieszania, ale ja zgoła kęs najmniejszy nie widzę, nie inaczej jedno jakobych też oczu w głowie nie miał. Owa towarzysze jeli mu tę radę dawać, aby się obiecał iść boso do Loretu, a o cudzej strawie, a snadź cię prawi, pan Bóg wysłucha. A my przedsię i lekarza tobie dobrego zjednamy, i o inne potrzeby nie trzeba ci się będzie starać, póki u nas jest coś w mieszku. Tak że on poklęknie wnet na łożu, a z wielkiem nabożeństwem i żałością za grzech swój, płaczliwemi słowy obiecał drogę do Loretu boso, pieszo i o cudzej strawie, a tam zostawić oczy srebrne, jeśliby mu pierwszy wzrok wrócił, a nadto obiecał mięsa we środy a z masłem we piątki (bo we Włoszech nic nie rożny piątek od soboty) nie jadać, i w sobotę każdą o chlebie samym i o wodzie do śmierci suszyć. Gdy to uczynił wyszedłszy ci dwaj do drugiej komory i zapaliwszy świecę, przyszli zasię do niego, śmiejąc się na umor, a mowiąc: Powinieneś to wszystko wypełnić, gdyż ci wzrok wrócił. A ów prostaczek z wielkiego strachu nie tylko śmiać się nie mógł, ale ani mowić, jedno zdumiawszy się siedział, ledwie to nie za prawdę rozumiejąc, co oni byli dla kunsztu zmyślili.“

Żart. — „Proszę pana o proszek do zębów panie aptekarzu!“ — „Pani chcesz zapewne nasienia na zęby, a nie proszku do zębów.“

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*